

Wywodzę się ze średnio bogatej, lecz klasycznej rodziny. Mama, tato i ja, dziecko zrodzone w wyniku skrzyżowania pomyłki ze szczęściem. Tato zarabiał. Pracował w terenie, co wiązało się z jego częstymi wyjazdami. Nie potrafił na mnie patrzeć.

Ożenił się z mamą i przez jakiś czas nie żałował swojej decyzji; miał swobodę, mógł chodzić gdzie bądź, choćby na polowania z erotycznymi historiami w tle. Po ślubie już nie musiał zgrywać porządnego; zhardtiał i okazał się uczuciowym harpagonem. Czułe spacerzy przy księżycu zastąpił chropowatą popolitością. Serdeczny i nadskakujący przed, po – rozwiął jej złudzenia. Uszło z niego powietrze i zaczął być rozdrażnionym dupkiem w przyciasnych gaciach. Jego poprzedni, egzaltowany romantyzm szlag trafił i dowiedziała się, że poezja, owszem, na wstępie znajomości ma sens. W zasadzie mało przydatny, bo pochłania za dużo emocjonalnych kilowatów, a romantyczna poezja odnosi w małżeństwie podobny skutek, jak puszczanie bąków w księżycową noc. Daje dziadowskie wyniki: efekty niewspółmierne do kosztów. Ale sensu tego już nie ma, gdy trzeba zająć się domem, czyli nim. Kiedy należy poniechać zbędnych trosk. Dajmy na to, o bachora. I żeby nie zapomniała, by miał kawę na zapęd. Kawę, koniecznie ze śmietanką, nie za ciepłą, nie za zimną, tylko w sam raz do chlipania. Ma się rozumieć, papierosy też, musowo z filtrem, wykwiłtne, ułożone na podorędziu, przygotowane dla kumpli.

Mimochodem dodał, że nie ma zamiaru z nich rezygnować, po czym stwierdził, że miłości obustronnej nie ma, że zamiast niej grasują po świecie egoizmy i nieodwzajemnione uczucia, bo świat jest hodowlą cieniasów zapatrzonych we własne wątpia. A najważniejsze – oznajmił - odtąd ma zajmować się tylko tym, by miał wolną głowę i nie zaprzętał jej fidrygalkami, czynszem, rachunkiem za telefon, za co popadnie, głupimi pieniędzmi na głupie święta, no i żeby było posprzątane. Co, oznajmiwszy, zamykał się w swoich nieistniejących problemach i siedział w gabinecie. Ale kto go tam wie, czy siedział! Może spał, albo patrzył przez lupę, oglądając znaczki, sentymentalne kancery z niegdysiejszych zamiłowań.

\*

Mamę gnębiło, że od chwili, gdy tu zamieszkał, dbał wyłącznie o siebie. Miała więc w co wkładać ręce i przez co nie sypiać. Robiła wszystko, żeby ją nareszcie docenił i przestał opędzać się od niej; w trybie nieprzerwanym gimnastykowała się, by było na to, czy tamto.

I choć z każdym kolejnym latem wstępowała w nią wiara w odmianę losu, wiara ta gasła z chwilą, gdy pojawiał się w drzwiach i rozpoczynał smędzenia; kiedy zamieszkał z nią, wyznał, że od dawna uskarża się na wrzody żołądka. W łazience poustawiał swoje buteleczki z lekarstwami, torebki z ziołami, kieliszki na krople, co wyglądało tak, jakby baterią medykamentów chciał wydusić z niej współczucie.

Presja tego widoku miała przekonać mamę, że nie udaje, że coś mu jest i w związku z tym musi być wobec niego milusia. Wchodził więc do kuchni i przystępował do narzekania. Jego śledczy wzrok sprytnie omiatał otoczenie. Z nagłym postanowieniem, że ma coś ważnego do zakomunikowania, chowając twarz w dłoniach, manifestacyjnie wycierał nos, co miało być pretekstem umożliwiającym zadanie mu rozdygotanego pytania o samopoczucie. Przypatrywał się jej z tym wytężonym znawstwem człowieka, który jeszcze nie wie, że urwał mu się film i ciągle gada, choć już nie ma o czym. W bonzurce, zlany potem, trzymając się za brzuch, odgarniając z czoła porzadziałą tapicerkę, siadał przy niej na krześle.

Któregoś dnia, gdy byliśmy sami, powiedziała, że jakby rzeczywiście miał te swoje bóle, byłby może bar-

dziej autentyczny i nie zachowywał się jak rozwrzeszczana pierdoła. Uważała, że człowiek nieudawany, a nie kabotyn i narcyz, winien przybierać mniej ostentacyjne postawy wobec tego, co przeżył dotąd. Choćby dla przyzwoitości. Chociażby dlatego, że nie wie, co jeszcze go czeka. Lecz ojciec, który istniał dzięki swoim złudzeniom, nie miał ochoty na wysłuchiwanie prawdy. Prawda była dla niego zatrutym pokarmem: jeżeli odczuwał gastryczne mdłości, wołał żyć w przekonaniu, iż dokucza mu rozstrój żołądka, niż wiedzieć o tym, że jego kłopoty mają emocjonalne podłoże, a ich źródło mieści się w wyrzutach sumienia. Nie przejmował się więc stanem swoich nerwów. Żył wbrew ich ostrzegawczym sygnałom. Pograżony w nieświadomości, lekceważył te objawy, jakich nie był w stanie ukryć: pragnął być zwodzony, bo niekiedy kłamstwo przynosi ulgę, tak jak prawda często przyspiesza wykonanie wyroku.

\*

Podczas gdy czekał na swoją dawkę współczującego zainteresowania, mama stwierdzała z rozgoryczeniem, że jest umysłowo rachitycznym frajerem; nieraz przyłapywała się na myślach mogących go zranić. Choć były szczere, nie nadawały się do weredycznych wypowiedzi. Wiedziała, że chwilowa satysfakcja ofiarowuje ulotne zadowolenie: czy prawda potrzebna jest temu, kto woli żyć w złudzeniach i wierzy w swoje potencjały? W przymioty, które są dla niego bezdyskusyjne, dla innych natomiast są pocieszną ciekawostką?

Sądziła, że na zatajeniu prawdy można szybciej i dalej zajechać, aniżeli na jej brutalnym, agresywnym przedstawianiu! Niejednokrotnie zadawała sobie pytanie: czy nie o to idzie, by tylko zbliżyć się do niej, delikatnie jej dotykać, niż bez ogródek wywalać ją, powiedzieć: oto daję ci ją na tacy, taki jesteś, udław się swoim rzeczywistym obrazem?

\*

Nagle miał dosyć mojego rozmamłania, drgawek, czkawek i dygotów i tego, że jestem nieprzepisowo dorodny, jakkolwiek sam był wzrostu niedostrzegalnego. Więc pewnego dnia pojechał w trasę po kilku województwach. Zaraz też wplątał się w nowe doznania. Rządził na innym pastwisku. Znowu szukał cztero- i listnej koniczyny, choć, według mnie, skapcianał do reszty i był niedorajdą pod każdym względem.

\*

W ślad za nim wymknął się z życia mój dziadek. Nie potrafił zaakceptować zięcia. Ledwie tolerował córkę, moją mamę, wzdygał się na widok pełzającego wybryku natury, czyli mój. Mając pod pięćdziesiątkę, położył się do wyra. Nie widziałem, by nosił coś innego, niż piżamę. Babcia opatrzyła mu się i spowszedniała. Po kilku latach małżeństwa traktował ją jak zużytą aparaturę do zwyczajnych posług. Toteż zasklepił się we własnych przeżyciach. Uczepił się przeżyć z górnej półki. Opatulił się książkami, brykami do medytacji, zeszytami i zapiskami. Przybrał pozę klerka parającego się przenikliwością. Człowieka gotowego do ubolewania nad sobą i różą w płonącym lesie. Nastąpił dla niego spóźniony etap wycofywania się z życia. Częste chwile hamletowskich sprzeczek ze sobą. Ciągłe walki z cieniami zamierzchłych problemów. W tym celu zaszył się w sobie. Odgrodził od spraw tego świata. Zbrzydło mu przejmowanie się losami bliźnich i przestał odróżniać przyjaciół od wrogów.

Odkąd został odludkiem, przestał chodzić utartymi drogami. Wkroczył w świat magii, czarów, niezwykłych zjawisk. Poruszał się po nim lepiej, niż po mieszkaniu. Jak inni, miał swoje marzenia, lecz wołał ich nie ujawniać. Podniecony nieznaną myślą, wracał do dziarskich wizji tysiąca i jednej przeputanych nocy, a mokry zmierzch gęstniał od urojonych wysp i plaż. Palcem brązowym od nikotyny pokazywał mi, gdzie pojedzie i co zobaczy. Przedemną, nieopatrnie zasłuchanym i wciągniętymi do wnętrza jego opowiadań, pojawiały się to morza, to jeziora, to oceany, to falujące piaski niezmiernych pustyń.

Odpustowy urok tych jego podróży palcem po kołdrze, zmuszał mnie do wchodzenia w rozpoetyzowany krąg jego przywidzeń. Namawiał do uczestnictwa w przygodach, których razem z nim doświadczałem

podczas lektury awanturnicznych książek. Tomów przemawiających językiem korsarzy siedzących okrakiem i rżnących w karty na beczce pełnej rumu.

\*

Oddalony od zmagania z szarzyzną znękanego dnia, sensat leżący z dala od nich, kochany dziadek w upiornej tresce, żwawa mumia z uchem przylepionym do radiowego pudełka, wyteżał słuch, wsłuchiwał się w trzaski, zgrzyty i świsty najnowszych przekazów dnia. A w chwilach wolnych od depresji tłumaczył mi, zakutemu profanowi, o co chodzi w politycznych galimatiasach. Jednak wyjaśniał niedokładnie, gdyż miał kłopoty z przełożeniem swoich myśli na bezalkoholowy język.

Pomieszane idee dziadka wpędzały mnie w konfuzję. W ironiczne zachnięcia, porozumiewawcze gesty i dyskretne pukania się w czoło. Podnosił wtedy głos, w miarę zdrowy, tubalny i władczy, a późniejszymi czasy – rozbity, dyszkantowy, ochryply, zdarty od przepalonych i zapijaczonych tyrad. A po nich szedłem do parku ze starcami, dziadek pozostawał sam; w przytulnym towarzystwie piersiówki, z gderliwą świadomością własnej izolacji, w ukochanym odseparowaniu od reszty domowników.

\*

Byłem wtedy poza domem. W jakimś sanatorium czy szpitalu. Gdy z niego wróciłem, Mama starała się nie płakać. Kiedy jeszcze żył, zajmował prawą część małżeńskiego łóżka. A jak umarł, to już nie musiałem spać na lewicy, tylko miałem własny pokój i całe wyro do kokoszenia. Mama była teraz w jednym, a ja w drugim, toteż pozwoliłem sobie na drukarkę i komputer opatrzony mianem „ostatni dzwonek”. Zaczęłem też gromadzić pocztówki, wyblakłe albumy z facjatami antenatów. Pochodziły z odległych czasów, tak rozmytych w pamięci, że gdy starałem się o nich dowiedzieć czegoś bliższego, nikt nie mógł zaspokoić mojej ciekawości. Przedstawiały zdjęcia z nieznanymi miast i kurortów. Były sepiowymi wizerunkami wyburzonych siedzib. Przeglądałem je z mieszanymi uczuciami. Jeżeli dotyczyły bliskich mi osób, wywoływały we mnie przeszłość, odżywały we wspomnieniach. Z ich powodu znajdowałem się myślami w pobliżu tych, którzy odeszli. Lecz kiedy ukazywały twarze, których nie kojarzyłem, lądowały w koszu, bo nie były warte ocalenia. A przecież oglądaniu ich towarzyszyła mi naiwna refleksja, że inni może mieliby odmienne zdanie, bo rzeczy i sprawy błahe dla mnie, krewni nieznanymi twarzami chcieliby mieć je stale przy sobie, gdyż to, co jednemu nic nie mówi, drugiemu wyciska łzy.

\*

Zbierałem również płyty z encyklopediami, szczególnie geograficznymi, biografie malarzy, kompozytorów, literatów, opisy ich dzieł. Pokazywały miejsca, do których nie pojadę, tereny utracone, amputowane, obszary, których inaczej poznać nie miałbym szans.

Z początku traktowałem kolekcjonerstwo jak niezłą metodę zabijania czasu, zabawę w magazynowanie informacji. Pochłaniały mnie lektury traktujące o wybitnych. Pozwalało mi to zachować resztki zdrowego rozsądku, skorygować przesadne mniemania o sobie, osuszyć zbiorniki z wybujałymi ambicjami, ale przede wszystkim utwierdzało w przekonaniu, że co było do powiedzenia, powiedziano już wcześniej i mądrzej, w związku z czym nie wypada po raz kolejny pływać wśród odgrzewanych kotletów.

\*

W dzień uczyłem się. Zmęczyła nauka – czytałem. Nużyło czytanie – słuchałem radia albo lizałem świat przez komputerową szybkę. A w przerwach pomiędzy nudą, a zainteresowaniami, rodzicielka zmuszała mnie do gimnastyki mózgowego mięśnia. Na tapetę wjeżdżały krzyżówki, kostki Rubika, quizy, szarady, rebusy. Lub grałem w szachy z rozumem na prąd. Lecz „ostatni dzwonek” był za bardzo cwany: co rusz dawał mi baty.

A któregoś dnia, gdy byłem pochłonięty wertowaniem swoich cymesów, przez uchylone drzwi udało mi się podsłuchać maminy głos. Usłyszałem, jak chełpi się moimi postępami i opowiada znajomym ze

schodowej klatki, że w najbliższym czasie wyjdę „na ludzi”.

\*

Natomiast ja, póki mogłem, pobierałem nauki zimując od czasu do czasu. Albo wałęsałem się po miejscach zbliżonych do liceum. W szczególności do Empiku, gdzie, objadałem się artykułami krajowych i zagranicznych czasopism. A więc dzienników i tygodników o kulturalnym wydźwięku. Lub chodziłem na deptak, naszą promenadę dla efekciarzy. Zwoływaliśmy się instynktownie, bez specjalnego wysyłania wici, o telepatycznie wyznaczonej godzinie, zazwyczaj u mnie: Andrzej, Rura, Gruby i ja na doczepkę.

Wrzeszcząc i tupiąc tak hałaśliwie, by przechodnie od razu wiedzieli, że to my, szukając znajomych z wolnym petem, szliśmy szeroką ławą, marynarskim, rozkołysanym krokiem, po właściwej stronie ulicy, środkiem chodnika, głównym traktem naszego miasta. Kroczyliśmy po tej, gdzie mieściła się Radiowa Rozgłośnia, Delikatesy i Plac Wolności z Sorboną, naszą wieczorową budą oraz kościołem, w którym przykry koleś o ksywie Piskorz, przyszył esbek, służył do mszy.

Bądź szedłem sam, do pobliskiego parku, gdzie pomarszczone pamiątki z przedwojennych lat, osobnicy w nagrobkowym wieku, wspominając dobre dni, wygrzewali strzykające gnaty. Upatrywałem, gdzie są matuzalemy i wio! Przysiadałem się, by co nieco dowiedzieć się o przeszłości. Tam dopiero, dzięki ich wykładom, zaliczałem pierwsze sesje z charakterologii. Toteż z chęcią znikałem z belferskiego pola widzenia.

Najczęściej chodziłem do biblioteki. Mijając wypożyczalnię, wkraczałem przez podwójne drzwi do czytelnicy, i od razu byłem w ekskluzywnej przestrzeni wymoszczonej książkami: oddzielony od zgiełku zewnętrznego świata, barierą ciszy.

\*

Lubiłem beletrystykę, jednak nie do fabuł mnie ciągnęło. Popychało mnie w kierunku czegoś niezabarwionego fałszem: faktów, szczegółowych opisów, niekwestionowanego realizmu, biograficznych i reportażowych ponderabiliów. Pochłaniałem także utwory z klasycznych półek: Balzaka, Prousta, Manna, Frischa, prozaików i odnowicieli słów, wirtuozów rytmu zdań i szyku wyrazów; prekursorskich konstruktorów świata swojej wyobraźni. Odmalowywali go tak plastycznie i tak sugestywnie, że nie mogłem nadszpeci się, iż pozostali, pomniejsi i epizodyczni, wytykają im wady, szukają w nich błędów, mielizn, stylistycznych potknięć, starając się wykazać wyższość własnej nędzy nad ich językowym majsterstwem.

Ale największą satysfakcję, wręcz rozkosz odczuwałem, robiąc sobie okłady ze słowników, kompresy z encyklopedii, nurkując w odmętach relacji z przeszłości, w niuansowych głębinach oceanów Historii. Historii, która z każdą chwilą stawała się mniej obca, a bardziej zrozumiała. Wertując leksykony, przekonywałem się, ile jeszcze nie wiem i jak wiele nauki przede mną. I ta myśl przyświecała mi stale. Zwłaszcza w momentach uderzeń pychy, gdyż od razu, jakby na zamówienie, do mojego wnętrza wdzierał się sceptyczny, ostrzegawczy, oprzytomniający brzęczyk sygnalizujący, że w porównaniu do wiedzy, o której nie mam pojęcia, ta, którą dysponuję, jest ledwie cząstką, informacyjnym paprochem, nie mam więc powodu do zadzierania nosa, kłaniania się sobie i całowania po rękach.

\*

Mamę za to rozpieierała energia innego rodzaju: w drętwy czas, gdy nudy brały górę nad pudami, a olej ścigał się z flakami o lepsze, nosiło ją po kominkach. Najczęściej bywała w cukierni Crystal. Chadzała do niej odpicowana zgodnie z mieszczańskimi halucynacjami o dobrym smaku, w kapeluszu o za szerokim rondzie, w sukni zbyt wytwornej jak na tamte lata, szytej na zamówienie, lecz szytej z przesadą: w kiecce odznaczającej się zagraniczną podróbą elegancji.

Uzbrojona w umbrelkę służącą jej do odganiania absztyfikantów, zostawiała płaszczyk w szatni i zajmowała miejsce przy stoliku zakładając nogę na nogę. Zajmowała miejsce ciągle przy tym samym, w grupie pań wiecznie ciekawych plot, zachodzących na eklerki przyprawione gdakaniem. Siadywała w towarzystwie damulek z wyfiokowanymi manierami, przebywających na krasomówczym głodzie i odwyku od milczenia. Pojawiała się w nim, kiedy ojciec wyjeżdżał w trasę, przepadał w innym województwie, rozplýwał się na miesiąc lub parę tygodni i tylko co pewien czas dawał telefoniczny głos opowiadając, że wszystko gra.

Któregoś dnia jednak zadzwonił niesztampowo. Jojczył, że jak długo żyje, nigdy nic mu nie pasowało: praca była nieziemsko podła, wydoiła z niego resztki. Ale resztki czego - nie precyzował. Bajdurzył o tym, co go trapi, ssie, uwiera, kim był, a kim został w rezultacie. Oświadczył, że mu się pieprzy, sypie, rozłazi, nie wie, co począć, bo według niego mleko już się rozlało i nie czas na makijaże rumowiska. Krótko mówiąc, wszystko mu przepadło i obwisło. Nawet dzieciństwo miał żadne i że ma podeptany życiorys. Do teraz pali go zgaga, bo przed ochajtnięciem zapowiadał się i rokował do rozpuku, pokładano w nim i żywiono wobec niego. A po tym wstępie, oznajmił: odchodzę od was, bo mam nową dupę”.

\*

Uwolniona od jego ponurej obecności, rozluźniona, przemieniła się z uległego, płochliwego i niewinnego stworzonka, w opryskliwą megierę, rozwścieczoną kocicę, markietankę żądną krwi. Nazajutrz po telefonie, by poprawić sobie humor, pośpieszyła na róg, do fryzjerskiego zakładu, ciemnego salonu o dwóch skrzyżowanych brzytwach wiszących przed wejściem, na cynowym talerzu.

W zakładzie królował zabójczy pan Feluś; służbowo życzliwy, z fantazyjnym brykietem udającym węża, bezdyskusyjny artysta w swoim zawodzie, niewiarygodnie mowny przytulacz i pocieszyciel kobiecych serc. Co moment, uwodzicielsko, zarzucał falującą czupryną. Totumfackim szeptem, pochylając się w stronę maminego ucha, wymrukiwał najświeższe nowiny i co pikantniejsze poliszynele. A potem, jak gdyby nigdy nic, zacierał ręce i brał się za robotę: mycie, farbowanie, zabawę z kolorami, układanie, modelowanie, konstruowanie istnych dzieł sztuki.

Wyondulowana, usatysfakcjonowana tym, że prezentuje się lepiej od przyjaciółek, rozpromieniona, udawała się do punktu odnowy kosmetycznej: pakamery usytuowanej na zapleczu. Przenikała przez kotarę dzielącą część publiczną od sekretnej. A tam, jak zwykle, trafiała na specjalistkę od depilacji, kumpelę z ogólniaka, niejaką Bebę, eteryczną postać żywcem ściągniętą z żurnala mód, uśmiechniętą jak ser do głupiego.

Mnie wkurzała, bo nie mogłem zrozumieć, co ją bawi i dlaczego nie jest przygnębiona jak Bóg przykazał: mąż na zasiłku, syn albo w pudle, albo na kolejnym detoksie, córka w defloracyjnej ciąży, z czego tu się cieszyć?

\*

A za niedługi czas potem padło mi zdrowie i nastąpiły takie terminy, że o wychodzeniu gdziekolwiek mogłem zapomnieć. Rozłożyło mnie dokumentnie i było ze mną co najmniej źle. Od kiedy mama stwierdziła, że większy nie będę, spece od medycyny poradzili jej, bym dogadał się ze swoją aparycją i dał sobie spokój z wychodzeniem poza łóżko. Oznajmili, że mogę się powolutku żegnać z planami na przyszłość i powinienem odmeldować się z marzeń o skokach na trampolinie, bo nadeszła dla mnie właściwa pora na medytację „o czarnych godzinach i najwyższych czasach”. Powinienem zająć się przestawianiem zwrotnic z przyzwyczajeniami i studiowaniem nekrologów. Mówili, że mogło być znacznie gorzej, bo choróbsko nie wybrzydza, zabiera, co jest, i chodu, więc niech nie traci wiary, nie martwi się skoliozą, ostatecznie są jakieś wkładki i nakładki, wyjścia, przejścia i dojścia, sanatoria i domy z opieką. Jeszcze

nie ma tak, by nie było nadziei! Przecież znane są przykłady, iż ludzie powracają do formy, mają remisje, a niektóre są długotrwałe, utrzymują się latami, więc nie trzeba się załamywać, mówić, że już nic i nigdy, i tylko klops.

Powiadali, że koniecznie musi ją wypełniać pozytywna wizja, bo tak już jest, że czasem fizyczny ubytek staje się psychicznym zyskiem. Należy mnie nakłonić, bym odstawił zmartwienia, przekabacić na zdrowy rozsądek, podszeptać, bym nie ustawał w wysiłkach, nie opuszczał się w zaufaniu do medycyny i nie zwieszał nosa na kwintę, zacisnął serce w pięść i powiedział sobie: kto tu rządzi.

Ma mnie przypilnować, bym jadł wszystko, co z magnezem, witaminki oraz inne kpinki, ćwiczył ile wlezie, wziął hantle w garść i ruszył na barykady, ale powoli, z rozmysłem, z namaszczeniem, nie pchał się z entuzjazmem, nie pajacował z ćwiczeniami, że nie od zaraz, ale będzie dobrze, a kto wie, czy nie jeszcze lepiej.

Byli nasączeni optymizmem, zbawczymi radami, poleceniami, pociechami, przestrogią, toteż cały mój dotychczasowy, uporządkowany świat skurczył się i zatrzasnął przede mną podwoje z obietnicami, a mnie każdy następny świt wydawał się bez sensu, bo życie, w które po każdej klęsce wracałem z odnowionym zapasem sił, rozczarowywało mnie za każdym razem. Jedyne, co potrafiłem, to patrzeć przez okno. Ślizgać się wzrokiem po wyobrażeniach. Więc tylko z okna widziałem, co się święci. Jednak, że widok ów nie obfitował w doznania, które mogłyby mi posłużyć do szerszych refleksji i być pożywką do ich snucia na dłużej niż moment, wziąłem się za czytanie. Lecz było to czytanie inne od poprzedniego, ponieważ postanowiłem, że skoro mam spędzić resztę życia w pozycji horyzontalnej, powinienem wykorzystać wszystkie swoje pozostałe możliwości, by skoncentrować się na tym, co lubię: na nauce, lekturach, może pisaniu. Dobrowolnie więc i krok po kroku zamieniałem się w rozumny grobowiec. Katafalk, z perspektywy którego rodziły się moje niespodziewane nawroty do ludzi i zdarzeń wyrwanych z przeszłości.

Tym więcej, że wciąż prześladowało mnie wspomnienie rozmowy kiedyś przeprowadzonej w parku: staruszek pamiętający niezłachane czasy, rzekł mi podczas naszej ostatniej partii szachów, że jeśli człowiek ma jakieś widoczne wady, to musi przemienić się na tyle, by przyćmić je zaletami.

\*

Ni z tego, ni z owego, mama zaczęła słabować. Nagle zmaląła i upodobniła się do wiórka. Na pytania odpowiadała bełkotliwymi monosylabami. Mimo to czepiała się życia. Przecząc biologicznym procesom, starała się nie rozczulać nad swoim stanem zdrowia. Mimo, że na jej twarzy widać było cierpienie, ignorowała prześladowające ją coraz częstsze ataki bólu. Nadrabiała miną. Zmieniała temat, kierowała moje zainteresowanie w nieważną stronę, albo nagle wychodziła z pokoju. Lub, symulując niezłe samopoczucie, snuła opowieści o nieznanym wypadkach ze swojego dzieciństwa. Lecz na własnej skórze przekonywała się, że nie wystarczy silna wola i upór, by pokonać to, co ją wyniszcza. Nadal jednak, rwała się do robienia mi śniadań i obiadów, ale widać było, że zajmuje to jej coraz więcej czasu. Była za bardzo osłabiona i gotowanie trwało. Niekiedy robiła to z przerwą na odpoczynek. W rezultacie śniadanie było o 13, a obiad o 22. Czasami następowała poprawa i wtedy siadała w bujanym fotelu przy mnie, by rozmawiać i zapomnieć o chorobach. Lecz takie święta zdarzały się coraz rzadziej i często miałem przygnębiające wrażenie, że, niosąc mi tacę z jedzeniem, z trudem dochodzi do okna mojego pokoju, by zobaczyć świat.

Powoli przygasła. Poddawała się, jakby zapadała się do własnego wnętrza. Jej spojrzenia coraz częściej matowiały, blakły, nieruchomiały, rytmicznie i nieubłaganie oddalały się od mojej rzeczywistości. Nie

podnosiła się z łóżka i jak przedtem ona, tak teraz ja starałem się o nią troszczyć. W pierwszej chwili nie miałem pojęcia, co zrobić; Było mi ciężko zaglądać jej w oczy, podczas gdy patrzyła na mnie apatycznie, jakbym był częścią pejzażu. Nie dawało się nawiązać z nią porozumienia. Dawniej elokwentna, roztropna i wesoła, teraz nie poznawała mnie. Moje widzenie świata pozostawało takie jak wczoraj, podczas gdy jej zmieniało się bez przerwy. Z minuty na minutę zastępowało jedno wrażenia, drugimi: poprzez doznania odzwierciedlone grymasem jej twarzy. Obca i nieuchwytna, prowadziła ze mną nie jesienną, ale zimową lub letnią rozmowę. Jak gdyby, wyręczając mnie, wiodła ze mną bezdźwięczną dyskusję o przeszłości. Jedno odległe zdarzenie rodziło następne, zaś ja, głaszcząc ją i widząc na jej twarzy wysiłek, byłem z nią zalewie duchowo. Istniała tylko w swoich przeżyciach, wśród kwiatów i pąków, podczas gdy ja znajdowałem się w zupełnie innym wszechświecie. Nie w otoczeniu kwiatów, ale w ich owocach. Nie w urojonych tęsknotach i świecie fantazji, ale w codzienności. A kiedy zdarzało mi się ją dogonić i zrównać z nią, kryła się już w innej porze myślenia i znowu była ode mnie za daleko. Wpatrzona w gałęzie drzew pobliskiego parku, kiwała się to w przód, to w tył; z nagłym, mechanicznym obrotem. Przypatrywała mi się badawczo, podejrzliwie, zapytując się wzrokiem, kim jestem. A będąc wyłącznie ze sobą, znajdowała się w czasie tak niepojętym i niedostępnym dla mnie, że, siedząc przy jej łóżku, wołałem nie dzielić się z nią swoimi wspomnieniami, pragnąłem oznajmić, że ją kocham. Lecz nie zdążyłem. Była już tak przezroczysta i zobojętniała na to, co działo się wokół niej, że gdy nareszcie stało się to, co musiało nastąpić, odczułem ulgę. Ale choć wiedziałem, że śmierć była dla niej wyzwoleniem, to jeszcze przez długi czas nie potrafiłem pogodzić się z jej odejściem. Uporać z tym, że nie zdążyłem jej poznać tak, jakbym chciał. Obwinałem się za to, że nie zdołałem wykorzystać chwil, gdy mogliśmy ze sobą rozmawiać. I stwierdzałem po niewczasie, że pewne rzeczy działy się albo za rychło dla niej, albo zbyt późno dla mnie, gdyż kiedy przychodziły, to już nie było dla nich odpowiedniej pory. Lecz pocieszałem się myślą, że to, co wydawało mi się ziemskim kresem podróży, pod wpływem dobroczynnego zacierania się chwil, staje się początkiem nowej i nieznannej drogi. Dotarło więc do mnie, że ci, z którymi chciałem dzielić się przemyśleniami, znajdują się nie tam, gdzie ja. Czułem się więc zaskoczony faktem, że czas obecny, klóci się z moim wczorajszym. I zatrwożyło mnie to, gdyż uświadomiłem sobie, że co było wtedy, już z pewnością nie wróci teraz.

\*

Dotychczas żyłem w świecie utopijnym; więcej czułem, niż mogłem zrozumieć. Lubilem stawiać na swoim, rządzić, wydawać rozkazy, panować nad sytuacją. Byłem kapryśny, po swojemu przebiegły. W decydujących momentach starałem się trzymać rękę na pulsie, choć był to puls anemiczny, coraz bardziej nieważny. W moim życiu był okres negowania wszystkiego, co było odstępstwem od normy. Lecz, razem z upływem lat, przyszło coś znacznie dziwniejszego: ludzie, którzy byli zbudowani prawidłowo, wydawali mi się nienormalni, a wszystko, co nienaturalne, stawało się typowe.

Dni, godziny i tygodnie spędzane w łózkowej monotonii, upływające mi pomiędzy patrzeniem w sufit, a przytulaniem się do ściany, powlekały się patyną miesięcy, rdzawym nalotem beczynności, osadem coraz bardziej gasnącej wiary w przyszłość. Stwierdzałem więc, że nie mam w sobie siły na dalsze zmagania i zaczynam tracić grunt pod nogami, a ulgę przynosiło mi stwierdzenie, że wszelka utrata jest uzupełniającą częścią życia i przyprawą losu.

\*

Sprawy należące do rytuałów, poranne budzenie, mycie, układanie w barłogu, zajęcia te pozwalały mi nie myśleć o tym, co nastąpiło; wreszcie mogłem zajmować się, czym chciałem i znajdowałem w sobie ciszę, jakbym przebywał poza odgłosami dochodzącymi zza ścian. By się wyzwolić spod natłoku toksycznych myśli, starałem się być bez przerwy pochłonięty pracą. Udawałem, że jestem nadzwyczaj zajęty różnego rodzaju pilnymi robótkami. Było mi wtedy niezgorzej. Lecz tylko w dzień, bo gdy zbliżała się noc, popadałem w parszywy nastrój. Kiedy przyływała, a razem z nią strach przed zaśnięciem, układałem po-

wiastki z nieokreślonymi herosami. Słuchałem gwarne go tłumu postaci skandujących pytanie: czy to ty jesteś potępiony? Ulegałem wtedy podłym nastrojom wsączanym mi w ucho przez te widziadła i nie mogłem oprzeć się zdumieniu, że były tak do mnie podobne!

Źle znosiłem ich odwiedziny. Ich roztkliwienia czynione półszepceniem i swoje odpowiedzi. Przypatrując się notatkom, uważnie, w skupieniu i ochoczo dyktowali mi, co mam o nich sądzić. A nad ranem ginęli w rosie przydrożnych drzew, by zjawić się znowu, gdy nadejdzie ciemność. O wschodzie słońca musiało minąć parę minut, zanim dowlokłem się do świadomości, że nie trzeba mnie utulać.

Kiepsko znosiłem ich odwiedziny i przesadne roztkliwienia. Uważałem, że już nie muszę im podlizywać się i być wobec nich przymilny, bo ich drapieżny czar stracił magiczną moc.

\*

Aż któreś nocy odeszły co silniejsze, a zamiast nich pojawiły się słabsze, mniej napastliwe: głosy, które próbowały mnie nawracać na racjonalne trwanie. Zapraszały do świata złożonego z grzecznych i posłusznych obroży. Nakłaniały do czcigodnych zachowań. Przebiegle mówiły, że skoro mam zamiar pokicać jeszcze po tym łożu padole, powinienem zwolnić obroty. Jednak w ich zaproszeniach wyczuwałem fałsz. Nieomal czułem na plecach ich odrażającą obecność, lepkie dotknięcia, łomoty i wibracje. Towarzyszył im wzgardliwy śmiech: pełen politowania chichot prorokujący mój kres. Pytały, od kiedy tańczą we mnie zjawiska i krajobrazy. Odkąd mam te furkoczące przywidzenia, zamęty, odmęty i rozkołysania. Od kiedy wracają mi wspominkowe napady, a ich zamazany sens płacze się po niespiesznej pamięci. Od jakiego czasu, wyprężonymi batalionami, wdzierają się do mnie fakty, daty i miejsca, które, być może, kiedyś coś tam mówiły, napominały i skłaniały do zadumy, a teraz były fantomami?

\*

Miałem wrażenie, jakbym dysponował nieograniczonym „dzisiaj”. Niby nadal robiłem dalekosiężne plany. Na pozór władałem sprecyzowanymi zamierzeniami. Lecz jednocześnie wiedziałem: pewniki, za które dałbym się posiekać „teraz”, „jutro” zostaną wycofane z obiegu. Byłem więc w kropce, bo pałętałem się po ziemi od tak dawna, a coraz mniej wiedziałem o sobie. Co moment doświadczałem różnych wątpliwości. Zrobił się ze mnie jakiś płochliwy i przygaszony osobnik. Nie mogłem nawet powiedzieć, że dokucza mi depresja, gdyż nie było to przygnębienie w stanie czystym, smutek rozpoznawalny od razu. Przypuszczam, że była to raczej maść na skrupuły, plasterek zapobiegający rozprzestrzenianiu się psychicznych toksyn, mikstura z niegdysiejszych emocji. Lecz, jak wiadomo, koniec etapu jest początkiem następnego. Jak gdyby ginęła nadzieja i odmykały się drzwi prowadzące do następnej fali lęku.

Toteż z obawą wkraczałem w nieznanne przestrzenie. Stwierdzałem, że czas nie ma brzegów; jest ciągły i bezkresny. Toteż zabrałem się za spisywanie wspomnień, jakkolwiek życzliwe głosy mówiły, że jest już za późno. Powinienem to robić wtedy, gdy posiadałem umysłową krzepę i stać mnie było na zdrowy rozsądek.

Mawiały, wpędzając mnie w złość, że przedtem czasu, a teraz nie mam do nich głowy. Na ich gust, za często myślę wydarzenia. Skutki grają w salonowca z przyczynami. Płaczę nazwiska, mieszam przyjaciół z wrogami, przedstawiam osoby typu „olaboga” jako ludzi „palce lizać” i „do rany przyłóż”.

Wytknęły, iż niepotrzebnie myszkuję po ich życiorysach dopatrując się pozytywnych cech tam, gdzie nie ma czego szukać, a pomijam te, które są złe. Z litości nie wspominały o fizycznych wizerunkach; moje notatki zamieniają - w tak zwanym okamgnieniu - „prawdę faktu” na „prawdę fikcji”. Tłuszcioch z piętnastej strony, na dwudziestej podobny jest do zagłodzonego kija. Łysy okazuje się brunetem, a przystojniak-cherlakiem.

Tak więc dałem sobie spokój z przekonywaniem głosów do swoich konfabulacyjnych racji. Mówiłem w zamian: to, co się ze mną dzieje, jest senną marą, która przemija. Nie ograniczam się do podawania czytelnikowi kompletnych faktów: otwierając mu oczy i serce na swój świat, skłaniam go do przemyśleń i zwracam uwagę na punktowo zarysowany problem.

Trudno zgodzić się z wami, że szkice moich opowiadań są skonstruowane z niedomówień; brakuje faktów, a zamiast nich pojawiają się spekulacje. Mimo tych opinii uważam, że nie wady to są, ale zalety; tworzona proza jest początkiem, kanwą, inspiracją i zachętą do poznawania. Ponawianą i ciągle intensyfikowaną próbą wejścia w nastrój niedokończonych tekstów. Kadłubowe, postrzępione i nadwątlone przez niepamięć szczegółów, znajdują się w ciągłym ruchu; pojawiając się, niczym snop światła, regenerują, a znikając w mroku - dostają się w nowy wymiar rzeczywistości i tym samym wywierają wpływ na ostateczną ocenę.

Wersje zapisów, ich sceneria i powtórzenia, to kalejdoskop niewykorzystanych, a wartych uwiecznienia możliwości i usiłowań. To próby nawrotów do źródeł przeżyć z młodości, z czasu pamięci przechowującej ledwie strzępy wspomnień. Ich zmiany powstające pod wpływem wewnętrznego rozwoju. A zmiany te są tworzywem, obsesją, drogą do samopoznania. Stąd tyle powracających motywów.

Tak zaprezentowane narracje wymagają od czytelnika wysiłku, skupienia, wzmożonego namysłu. Zapraszają do aktywnego odbioru, do współuczestnictwa w świecie reminiscencji. Mają charakter pamiętnikarski; zresztą pamięć, przypomnienia i czas, grają w nich niepoślednią rolę.

Fragmentaryczność tych utworów jest wynikiem niedoskonałości pamięci. Jej okruchy przybierają formę wędrowek przez czas; ułożone w cykl, stanowią całość. Zwarty, lecz niedokończony i w ten sposób, choć kontynuowany, to nigdy nie zamknięty, system ciągłych ponowień.

Słowa, miejsca, wątki, refrenowe sformułowania odnoszące się do różnych partii opowiadań, zawierają się w pozostałych. Są uzależnione od kontekstu; co innego przedstawiały w czasie fizycznym, a co innego znaczą w czasie psychicznym.

Czas psychiczny jest skutkiem tego nieustannym pomnażaniem kolejnych wersji zdarzeń; poznawanie świata polega na ponownym sklepaniu jego fragmentów, ułomków, odprysków i przypuszczeń. Na uporczywej rekonstrukcji zdarzeń: łączeniu ich w jedno i budowaniu z nich mozaiki.

Ciekawość była warunkiem mojego istnienia. Drogą do osiągnięcia doskonałości wyrazu i specyficznego przekazania wielowarstwowej treści. Treści w tak stworzonej formie, która, widziana w jednym zapisie, mogłaby odzwierciedlić wiele ukrytych. Lecz choć w głębi ducha przyznawałem im rację, na zewnątrz tkwiłem w swoich rozterkach, sądziłem, że jeszcze nie jestem przygotowany do zmiany przeżyć. Wiedziałem, że uspokojenie nadchodzi nie tak od razu, gdyż nie znamy swojego losu; mamy zaledwie jakieś przesłanki oparte na szczątkowych realiach.

Frazes: i one to mają być naszymi opokami? Gadanie o planach na „najbliższe zaś” jest śmieszne, ponieważ nie znamy dnia i godziny. Toteż wmawiałem w siebie, że to, co się ze mną wyprawia, jest zaledwie marą, która przemija; wprawdzie jest utratą pamięci, to przecież wkrótce przestanie istnieć.

\*

Lekarze poradzili, bym rzucił dotychczasowy tryb życia i poddał się badaniom na okoliczność kiepskiego stanu zdrowia. Tym bardziej, że ostatnio zapadałem się w retrospekcjach niczym w bagnie. Co gorsza, uważałem, że można do nich przywyknąć, a dręczące mnie strzępy wspomnień nie są sprzeczne ze sobą. Miałem nadzieję, że to im właśnie zawdzięczam lepszą egzystencję. Rozróżniałem je, traktowałem z jednakową pieczołowitością. Nawet nastrojowo odmienne, istniały we mnie na równych prawach. Przerzucałem się od jednego do drugiego, było więc tak, jakby między nimi rozpościerała się kładka, której nikt nie mógł zobaczyć oprócz mnie. Skutkiem tego twierdziłem, że wszystkie są konieczne, bo każde, analizowane z osobna, stanowiło początek lub koniec nowego. Pomost łączący widoczne z nierealnym. I

była to rzeczywistość, którą akceptowałem. Wytyczała granice mojego świata, w którym poruszałem się bez ruchu, niesiony falami wyobraźni, nie opuszczając łóżka, pokoju, wózka. Starczyło zamknąć oczy, włączyć radio z muzyką wywołującą dreszcze, aby przenieść się w inne rejony; żyć bez szukania wyjaśnień dlaczego jest, jak jest. Dowodziłem, że nie tylko materia broni się przed próżnią. Utrzymywałem, iż pustki nie tolerują również przeżycia: jedne zastępują drugie. Przenikają się, a przeszłość i przyszłość stają się teraźniejszością.. Białe nie różni się od czarnego, miłość od nienawiści, piękno od brzydoty, choroba od zdrowia. Nie ma rozziwu między tym, kim jestem, ani przez jaki okres. Wypadki nie mają historii. Łączą się i biegną w zawrotnym tempie, co wyglądało tak, jakby całość mojej egzystencji zaczynała się w jednym czasie, lecz w różnych miejscach. Wydawało mi się, że każde zdanie ma sens i znajduje się na właściwym miejscu. Poprzednie przeszkody przestawały mnie dręczyć, a świat kręcił się zgodnie z moim samopoczuciem: szybko, gdy byłem wesoły, ociężale, gdy byłem na nie.

Czułem, że nie ma dla mnie barier i pułapek. Wypadki, których przedtem nie mogłem wyjaśnić, układały się teraz w spójny system zależności; przybierały prostą i oczywistą formę. Nic więc dziwnego, że ostateczny wyrok badań był druzgocący. Zresztą nie spodziewałem się innego, więc pojechałem do ośrodka, w którym prostowano ludzi z podobnymi urojeniami. Lecz, nie wdając się w szczegóły, pobyt w tym sanatorium dla przegranych dał mi mniej niż nic.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

OWSIANKO, dodano 19.08.2023 13:28

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).